

kalejdoskop

02/2026 wojewódzki
magazyn kulturalny



Łódź

nr ind. 323489
ISSN 0860-3057
cena 5 zł
(w tym 5% VAT)



Motion Trio
podczas występu
w Filharmonii Łódzkiej
2 | 2026

Fot. Dariusz Kulesza /
Filharmonia Łódzka



Anna Ligęza „Szlug”
– wystawa
w Galerii Art Hub,
czynna do 6 II

Na okładce: Fragment tkaniny Anne von Freyburg,
Międzynarodowe Triennale Tkaniny, Łódź 2025 – czytaj na str. 52
Fot. HaWa

Adres redakcji

Łódzki Dom Kultury
ul. Dowborczyków 18, 90-019 Łódź
tel. 797 326 217
e-mail: kalejdoskop@ldk.lodz.pl

www.e-kalejdoskop.pl

Informacje o imprezach

prosimy przysłać na adresy

kalejdoskop@ldk.lodz.pl
kalendarium@ldk.lodz.pl

Redakcja

Bogdan Sobieszek – redaktor naczelny
Aleksandra Talaga-Nowacka

Projekt graficzny

Marta Krzemień-Ojak, Leniva° Studio

Skład

Julia Szwed
Aleksandra Gruszczyńska
Justyna Purczyńska-Zieleniewska

Druk

SilverPrint
ul. Gliniana 13
91-336 Łódź

Nakład 1300 egz.

Prenumerata

Nie mogą Państwo znaleźć „Kalejdoskopu”
w sklepie lub w kiosku?
Można zaprenumerować go w redakcji.

Wystarczy wpłacić na konto
Łódzkiego Domu Kultury
(44 1020 3352 0000 1002 0014 2562)
kwotę 98 zł, a poczta dostarczy
co miesiąc egzemplarz „Kalejdoskopu”
(jedenaście kolejnych numerów).
Na kalejdoskop@ldk.lodz.pl
należy przesłać swoje dane do wysyłki
wraz z informacją, od którego numeru
ma się zacząć prenumerata.

Dorastanie w teatrze

Bogdan Sobieszek, redaktor naczelny

Nieustannie martwimy się o naszą młodzież. Do rozpoznanych zagrożeń w ostatnich latach doszły kolejne. Uzależnienie od obecności w sieci, od stałej łączności z mediami społecznościowymi rodzi poczucie osamotnienia i sprzyja stanom depresyjnym. Te zjawiska z powodzeniem może łagodzić teatr jako pozytywna aktywność w realnym świecie. Jak jednak sprowadzić nastolatków na łono sztuki scenicznej, by byli widzami i współtwórcami? Odpowiedź wydaje się prosta: odpowiednim repertuarem i obietnicą włączenia w rzeczywistą wspólnotę (w odróżnieniu od tej wirtualnej, która nie rodzi bliskości). Jaka jednak oferta zachęci do chodzenia do teatru, jakie formy zajęć będą pożądane? Trzeba rozmawiać z młodzieżą o teatrze, wprowadzać ją w konteksty, uczyć świadomego odbioru, ale jednocześnie trzeba jej słuchać, rozpoznając potrzeby i oczekiwania. Nastoletni widzowie coraz częściej dostrzegani są przez twórców teatru, którzy proponują również młodemu repertuar artystycznie ambitny i formalnie odważny. Łódzki Pinokio podąża tą ścieżką wraz z teatrami w Krakowie czy Warszawie (Teatr Ochoty stał się instytucją dla młodzieży). Powstają rady młodzieżowe przy teatrach, młodzi uczestniczą w tworzeniu scenariuszy, spektaklom dla młodzieży towarzyszą warsztaty. Jednocześnie teatr może być (i zawsze był) przestrzenią twórczego spełnienia, szukania własnej drogi, namysłu nad światem. Tu ważną rolę do odegrania mają lokalne placówki kultury i szkoły jako baza dla działania młodzieżowych grup teatralnych, często wypieranych z pola zainteresowania instytucji przez seniorów. Równie istotni jak miejsce są doświadczeni, godni zaufania instruktorzy (zatrudniani przez wspomniane instytucje), którzy traktują młodzież po partnersku, szanując jej podmiotowość. Oby otwarte dyskusje i praca na scenie wzmocniły pewność siebie wrażliwych młodych ludzi i pomogły im radzić sobie w pełnym chaosu, spolaryzowanym świecie. ¶

Spis treści

- 10 Zdumiewająca.
Łukasz Barys
- 11 Czegoś brak?
Andrzej Poniedziałki

TEMAT NUMERU

Na co młodym teatr?

- 14 Wspólnota i wolność.
Paulina Iłska
- 18 Spotkanie z żywym człowiekiem.
Rozmowa z Adamem Wrzesińskim
- 23 Żeby nie było infantylnie
i łopatologicznie.

- 26 David odleciał.
Kornel Nocoń
- 31 Na trzeźwo się nie da.
Mieczysław Kuźmicki

- 32 My name is Luka.
Łukasz Maciejewski

- 34 Więcej, a jakby mniej.
Rafał Gawin

- 40 Dwie prawdy.
Dariusz Bilski

- 42 Muzeum jak arka.
Tomasz Romanowicz

- 45 Galeria Kalejdoskopu
Justyna Anioł i Jonatan Poeche



- 50 Komiksowy urodzaj.
Piotr Kasiński
- 52 Nowe narracje.
Aleksandra Talaga-Nowacka
- 54 Sztuka bez biletu.
Monika Nowakowska
- 56 Chłosta dla bibliotekarza.
Bogumił Makowski
- 58 Wizje i wizyty.
Piotr Grobliński
- 60 Inne typy.
Marcin Andrzejewski



62 Uparty optymizm.
Rozmowa z Michałem Kolińskim

64 Trubadurzy jidysz.
Michał Danielewicz

66 Trudna miłość.
Pienisty

67 Dodatek „Łódzkie inspiruje”
– Kutno

79 Kalendarium



Wspólnota i wolność

Paulina Ilska

Przyglądamy się teatrowi młodzieżowemu. Z jednej strony w teatrach instytucjonalnych mamy spektakle – lektury szkolne i przedstawienia (nieliczne) kierowane specjalnie do tej grupy wiekowej. Z drugiej – w obszarze teatru alternatywnego działają teatry młodzieżowe budujące grupy na poczuciu wspólnoty, autorskich środkach wyrazu i kulturze festiwalowej. Na ile wszystkie te formy trafiają w oczekiwania młodzieży? Czy młodzi ludzie chcą chodzić do teatru jako widzowie albo sami ten teatr tworzyć? Jak działać, by ich do tego zachęcać? Zapytaliśmy o to dwoje animatorów życia teatralnego.

Anna Perek przygodę z teatrem rozpoczęła na zajęciach w szkole podstawowej w latach 90. Gdy zaczynała studia, działała w Teatrze Art. 51, a jednocześnie założyła grupę młodzieżową w swoim dawnym liceum. Dziś jest aktorką, animatorką kultury, instruktorką teatralną, od czterech lat pracuje w Miejskim Ośrodku Kultury Stary Młyn w Zgierzu, gdzie prowadzi dwie młodzieżowe grupy teatralne i jedną dorosłą. Zastanawia się, dlaczego teatr był kiedyś pociągający dla niej jako młodej osoby. – Interesowała mnie teatralna ekspresja, w której teksty i inne elementy spektaklu spajały się w jedną całość, ale też istotny był dla mnie fakt, że tworzyło się razem – wspólnie określaliśmy temat, pracowaliśmy nad scenariuszem.

Ze współczesnych obserwacji Anny Perek wynika, że dziś dla młodych ludzi nadal ważne jest, że poprzez teatr i własne teksty wyrażają swoje zdanie oraz emocje. Dlatego jako instruktorka buduje przestrzeń, w której mogą być kreatywni i tworzyć coś swojego. Poza tym uczestnicy zajęć

powinni uczyć się odpowiedzialności za to, co robią, i odpowiedzialności za grupę, ale też dogadywania się ze sobą, co nie jest łatwe. – Czasami próby przekształcają się w klub dyskusyjny, rozmowy o świecie. Działania warsztatowe na tym cierpią, ale zauważam, że gdy młodzież już nauczy się wypowiadać, to sfera teatralnego rzemiosła czy formy też staje się dla niej istotna.

By zachęcać młodych ludzi do scenicznej aktywności, w Teatrze Pinokio w Łodzi w ubiegłym roku powstała grupa młodzieżowa prowadzona przez Wiktora Moraczewskiego i Wiktorię Różycką. Teatr może być atrakcyjnym medium dla tych, którzy zastanawiają się, w jaki sposób wyrażać to, co myślą, co czują. Działanie teatralne, budowanie artystycznego przekazu może się przerodzić w zainteresowania związane z aktorstwem albo z graficznym przetwarzaniem rzeczywistości czy z pisaniami. – Myślę, że uczestnictwo w grupach teatralnych to nie jest kwestia chęci bycia aktorem, bo to nie takie proste – mówi Bartosz Kurowski, reżyser, koordynator ds.

Spektakl „Peer Gynt”
w Teatrze Pinokio
w Łodzi



współpracy międzynarodowej i rozwoju w Teatrze Pinokio w Łodzi. – To raczej poszukiwanie swojego języka poprzez teatr, który jest sztuką synkretyczną, spajającą różnego rodzaju działania artystyczne. Tworzenie teatru umożliwia młodemu człowiekowi namysł nad tym, w jakim kierunku chce podążać.

Nie ma łatwej drogi

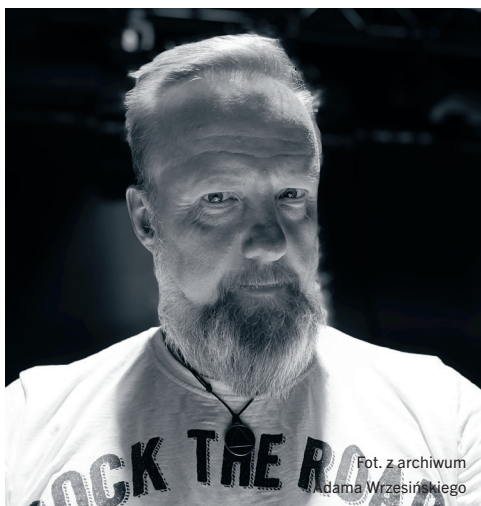
Według powszechnej opinii dzisiejsza młodzież jest przebudźcowana, jej uwagę pochłaniają przede wszystkim media społecznościowe, dlatego mniej niż kiedyś interesuje się robieniem teatru. Anna Perek ze swoim Teatrem Trytytka dwa razy była na Festiwalu WUCHTA – Ogólnopolskich Spotkaniach Młodego Teatru w Poznaniu. Pokazywano tam wiele spektakli z całej Polski. To według niej dowodzi, że młodzież wcale nie chce spędzać czasu tylko w telefonach, że czuje nimi przesyty. Budowanie relacji w rzeczywistej przestrzeni jest dla nastolatków istotne. Bycie w grupie, której członkowie się w pełni akceptują, to istotny powód, dla którego teatry młodzieżowe wciąż działają.

Perek nie zgadza się z tezą, że z młodzieżowym ruchem teatralnym jest bardzo źle. Zastanawia się, czy to, że w organizowanym przez Łódzki Dom Kultury Łódzkim Przeglądzie Teatrów Amatorskich ŁÓPTA ostatnio nie przeważają grupy młodzieżowe, to łódzka „przypadłość” czy konsekwencja kierunku, w jakim zmierza działalność teatralna ŁDK, w mniejszym stopniu adresowana do młodzieży. Przypomina jednocześnie, że w Łodzi wciąż funkcjonują przecież Ogólnopolskie Konfrontacje Teatrów Młodzieżowych. Część grup alternatywnych w Łodzi rozpadła się w sposób naturalny, gdy przyszła dorosłość. A dziś nie ma tyle ośrodków, co kiedyś, także zajęć teatralnych w szkołach jest mało. Dlatego młodzi chcący tworzyć teatr nie mają łatwej drogi.

Według Bartosza Kurowskiego w zajmowaniu się teatrem z młodzieżą istotne są partnerskie relacje, tworzenie kolektywnej struktury, kolektywnych projektów, a nie grupy, w której prowadzący ma funkcję reżysera, a inni są wykonawcami. Tylko wtedy grupa teatralna może być dla młodzieży platformą do wyrażania siebie. – We wrześniu zeszłego roku w ramach Festiwalu

Spotkanie z żywym człowiekiem

Ruch w internecie generują boty i trolle, reszta to reklamy. Elementu ludzkiego jest niewiele. A teatr jest miejscem, do którego wchodzimy w czasie rzeczywistym. Widzimy żywych, prawdziwych ludzi, niektórzy naprawdę do siebie krzyczą, płaczą, obejmują się. Dla osób przychodzących na zajęcia teatralne to jest nowość. Za chwilę może się okazać, że to będzie jedyna prawdziwa wartość i w tym upatruję nadziei, że moja praca ma sens – mówi Adam Wrzesiński, reżyser pracujący z młodzieżowymi grupami teatralnymi.



Adam Wrzesiński

Paulina Ilska: Jak znalazłeś się w łódzkim środowisku teatru alternatywnego i młodzieżowego?

Adam Wrzesiński: Poszedłem na premierowe przedstawienie Grupy Teatralnej Dziewięćsił, która miała siedzibę w Bałuckim Ośrodku Kultury „Na Żubardzkiej”. To był spektakl Andrzeja Czernego i jego

drużyny, czyli „W diamentowym blasku na niebie”, złożony z tekstów piosenek Stinga, Pink Floyd, Jima Morrisona itd. Andrzej Czerny kojarzył mnie z konkursów recytatorskich, występów szkolnych i zapytał, czy bym chciał dołączyć. Dołączyłem i będzie już 35 lat, jak próbuję się w tym odnaleźć. Zagrałem w niemal wszystkich realizacjach tego zespołu, bo Czerny lubił mnie obsadzać w rolach aktora heterogenicznego: będę wychodził raz jako Żyd, drugi raz jako włoski generał, a za trzecim razem jako francuski biskup. I za każdym razem będę miał inny akcent, a na koniec walnę tekst po niemiecku. Uwielbiał, gdy mówiłem po niemiecku, bo urodę mam niemiecką, więc najlepiej byłoby mnie ubrać w mundur faszysty, co zresztą kiedyś uczynił. Wspominam to z wielkim ciepłem w sercu (nie, nie mundur faszysty, tylko współpracę z Andrzejem), bo bawiłem się wspaniale, a uczyłem jeszcze więcej. Czasy aktorские zakończyłem w latach 2009–2010, po zagranu Borowieckiego w spektaklu „Ja, Borowiecki”. Kilka lat wcześniej zacząłem myśleć o reżyserii, o tym, że chciałbym poprowadzić grupę, bo miałem

już swoje wyobrażenie tego, jak może czy powinien wyglądać teatr. I nie do końca było to zbieżne z tym, co chciał u siebie widzieć Andrzej Czerny. Dziewięćsił to była jego autorska koncepcja. Poszedłem własną drogą i od 15 lat prowadzę Teatr Yeta. Wiem jednak, że w pewien sposób kontynuuję tę „linię Czernego”: szacunek dla słowa, warsztatu aktorskiego, wielotworzywowości dzieła scenicznego. Sam Andrzej powiedział mi kiedyś, po obejrzeniu jednego z moich spektakli, że „robię teatr dla ludzi”. To dla mnie wiele znaczy.

Wystarczy do tego wieloletnie doświadczenie czy trzeba kończyć kursy albo wręcz szkoły?

Ważne jest szukanie różnych teorii, poznawanie, czytanie, doświadczanie, udział w warsztatach. Dla mnie niesamowitą sprawą były wyprawy teatralne, które organizował Marian Glinkowski, szef Ośrodka Teatralnego w Łódzkim Domu Kultury. W Ośrodku Praktyk Teatralnych Gardzienice obejrzelśmy legendarne dziś spektakle: „Carmina Burana” i „Żywot protopopa Awakuuma”. Do dziś pamiętam spektakl w starej cerkwi, który oglądało się przy świecach, siedząc na rusztowaniach, po których aktorzy biegali, wspinali się jak szympansy. To było coś, co nas wywaliło w kosmos. Mieliśmy warsztaty z Włodzimierzem Staniewskim, z Tomkiem Rodowiczem. I takie doświadczenie poparte wiedzą jest istotne. I to, żeby wiedzę usystematyzować. Istnieje studium podyplomowe reżyserii teatrów dla dzieci, młodzieży i dorosłych na Akademii Sztuk Teatralnych we Wrocławiu – można tam nabyć wiedzę teoretyczną, ale również praktyczną, bo trzeba zrobić spektakl jako dyplom. Można współpracować ze studentami aktorstwa z tej szkoły, ewentualnie zrobić dyplom z własną grupą teatralną. Można też pójść na kurs dramy i z tego wyciągnąć dla siebie ile się da. Można jechać do Warszawy i zrobić roczny, intensywny kurs metody

Meissnera. W każdym razie niekoniecznie trzeba zostać absolwentem Wydziału Reżyserii.

Wróćmy do Teatru Yeta. Pracowałeś też z innymi grupami w różnych miejscach.

Specyfika pracy warsztatowej jest taka, że cykl zajęć odbywających się podczas roku szkolnego nie musi się kończyć pokazem. I w zasadzie po wakacjach można uruchamiać kurs ponownie od pierwszego konspektu zajęć. Natomiast w pracy zespołu teatralnego zajęcia warsztatowe są nadal bardzo ważne, ale motywacją musi już być jakiś „dedlajn”. Inaczej praca traci dynamikę i sens, staje się stagnacją, a nie progresem. Dlatego też Teatr Yeta jest od 2025 roku fundacją. Po piętnastu latach trwania jako grupa nieformalna mógł zniknąć lub wejść na wyższy poziom. To droga, która polega na rozwoju i na dokładaniu do tego, co już mamy, kolejnych wyzwania, ale również kolejnych ludzi do zespołu. Pojawiają się nie tylko aktorki, jak to zazwyczaj bywało na początku, ale również sporo aktorów, teraz przybyła dziewczyna, która jest choreografem. Marzy mi się muzyk, kompozytor, człowiek od techniki, żebym to nie ja był jedynym, który obsługuje kwestie elektroakustyczne podczas prób i przedstawień. Myślę o rozpoczęciu współpracy z Miejską Strefą Kultury, co byłoby w zasadzie „powrotem do domu”, bo przecież Dziewięćsił powstał w jednym z ośrodków będących obecnie jej częścią. Marzy mi się, by móc kiedyś taką grupę jak moja wziąć pod skrzydła i powiedzieć: chodźcie do nas, zrobicie spektakl, a my wam pomożemy logistycznie, finansowo, damy wsparcie, kostiumy. W ramach „Latających warsztatów teatralnych” w ŁDK pracowałem też z grupą w Łowiczu, od jakiegoś czasu prowadzę warsztaty w Domu Literatury. Po ukończeniu warsztatów czasem ludzie przechodzą do Teatru Yeta albo realizujemy razem kolejne projekty.

Żeby nie było infantylnie i łopatologicznie



Julia Jaszczał, 13 lat

Do teatru chodzę raz na parę miesięcy. Na różne sztuki, mama mnie wyciąga (śmiech) a to na „Zemstę” Fredry, a to na „1989”, spektakl wyreżyserowany przez Katarzynę Szynkierę w Krakowie. Czasami idziemy ze szkołą, jak jest grana jakaś lektura, ostatnio byłam na „Małym Księciu”.

Głównie jeździmy do Warszawy, Krakowa, chodzimy na festiwale, na przykład Festiwal Łódź Wielu Kultur. Ostatnio podobała mi się wspomniana „Zemsta” w Teatrze Komedia w Warszawie, w fajnej, „gangsterskiej” wersji. To było łatwiejsze do zinterpretowania dla osób w moim wieku, które teraz omawiają „Zemstę” jako lekturę szkolną, lepsze niż poprzednia „Zemsta” w Teatrze im. Jaracza w Łodzi, którą oglądałam na wycieczce klasowej – drętwo przedstawiona i nie do końca zrozumiała, archaiczny język. W Komedii ten język jakby mniej przeszkadzał. Dialogi były lepiej wkomponowane w inne elementy spektaklu, nawet jeśli niektóre słowa nie były mi znane. Nie wiem do końca, jak opisać tę różnicę. Ale aktorzy grali dobrze w obydwu przedstawieniach.

Myślę, że wycieczki szkolne do teatru to niezły pomysł, żeby nie wkuwać lektury, tylko zobaczyć ją wystawioną na scenie. Ale czasem wybierane są niezbyt fajne przedstawienia. Najlepiej wspominam „Małego Księcia” w Arlekinie, był naprawdę niezły. Jakiś czas temu byłam na „Hobbicie” w Teatrze im. Jaracza w Łodzi. Było dość fajnie, podobała mi się interakcja z publicznością i efekty specjalne. Jest sens robienia spektakli dla młodzieży, tylko trzeba dobrze napisać scenariusz, adekwatnie do wieku widzów, żeby nie było infantylnie i łopatologicznie, jak dla małych

dzieci, bo jak „Czerwony Kapturek”, to koniecznie przesłanie: pamiętaj, by nie rozmawiać z obcymi itp. Osoby w moim wieku rozumieją bardziej skomplikowane metafory.

Podejrzewam, że gdyby mama mnie nie „ciągała” do teatru, to bym nie chodziła, chyba że ze szkołą. Myślę, że to dlatego, że w teatrze nie do końca wiesz, o co w danym spektaklu chodzi. Nie możesz sobie, jak w filmie, sprawdzić zwiastunu, żeby wiedzieć, o czym jest przedstawienie, tylko musisz zgadywać po opisie. Gdy ostatnio czytałam opis sztuki, nie rozumiałam, o co chodzi. No i bilety do teatru są droższe niż do kina. Myślę, że młodzież chętniej chodziłaby do teatru, gdyby były wyjścia ze szkołą na rzeczywiście fajne spektakle, a nie tylko na lektury. Dobrze napisane, dobrze zagrane, z ciekawymi metaforami. Lubię fantasy, może dlatego „Hobbit” mi się podobał. Ale historie wolę czytać niż oglądać, będę szczerą.



Joanna Miernik, 18 lat

Najczęściej oglądam spektakle teatrów alternatywnych. Myślę, że z przyzwyczajenia, bo kiedy „wchodziłam w teatr”, oglądałam właśnie takie. To jest trochę coś innego i bardzo mi to odpowiada. Jeżeli mam iść do teatru instytucjonalnego, to istotne są też względy finansowe, bo mimo że rodzice są zadowoleni, że chodzę do teatru, i mnie wspierają, to jednak muszę poprosić ich o pieniądze. Wyjście do takiego teatru wymaga też lepszego zorganizowania, trzeba z większym wyprzedzeniem kupować bilety.

Gdy szukam spektaklu, zwracam uwagę na to, by mówił o tematach, które są mi bliskie, albo by miał do powiedzenia coś nowego, co mnie zaciekawi. Do Teatru Szwalnia chodzę na wszystko, bez sprawdzania. Od dwóch edycji bywam też na festiwalu Słodkobłękity w Zgierzu. Śledzę, co się dzieje w Teatrze Chorea, ciekawi mnie, tylko nie miałam jeszcze czasu się tam wybrać.

Byłam z klasą na spektaklu dla młodzieży „Wściekły” w ramach cyklu „Dziecko w sytuacji” w Teatrze Powszechnym w Łodzi. Wszyscy dobrze się bawili i nauczycielce też się podobał. W szczególności to, że później można było na temat spektaklu porozmawiać. I nie miał on czegoś, czego najbardziej się obawiam. Bo mam wrażenie, że jak sztuka jest „dla młodzieży”, to bardzo stara się pokazać, jaka jest współczesna młodzież, a to nie wychodzi i wypada żenująco. Większość młodzieży może chodzić na spektakle dla dorosłych. Często pada argument, że młodzi tego nie rozumieją, ale tego nie wiadomo, bo każdy przeżywa różne rzeczy w różnym wieku. Wracając do spektaklu „Wściekły”: były dwie postaci, przemocowy



David odleciał

Kornel Nocoń

15 stycznia minęła pierwsza rocznica śmierci Davida Lyncha, który prawie przez dekadę był związany z Łodzią. To dobra okazja, żeby przypomnieć jego plany dotyczące dawnej „stolicy filmu”. Medialne doniesienia o budowie studia Lyncha budziły nadzieje na reaktywację filmowego dziedzictwa miasta, większe niż rozczarowania, dezorientacja i oburzenie politycznymi aferami. Dziś w Łodzi po Lynchu nie ma śladu.



Zdjęcia: Marian Zubrzycki

Na zdjęciach: David Lynch w Łodzi

David Lynch po raz pierwszy odwiedził Łódź w 2000 roku jako honorowy gość 8. Międzynarodowego Festiwalu Autorów Zdjęć Filmowych „Camerimage 2000”. Rozrastająca się impreza właśnie przeniosła się z Torunia do upadającej „stolicy polskiej kinematografii”. W trakcie zakończenia festiwalu Lynch odebrał dwie nagrody. Dla duetu reżyser – operator, współdzieloną z Frederickiem Emesem (razem zrealizowali „Głowę do wycierania”, „Blue Velvet”, „Dzikość serca” i krótkometrażowy „The Amputee”), oraz dla reżysera o wyjątkowej wrażliwości wizualnej. W kolejnych latach Lynch stał się stałym bywalcem Camerimage.

Większą sensację niż przyznane wyróżnienia wzbudziła sesja zdjęciowa z udziałem modelek w opuszczonych obiektach przemysłowych, kamienicach i pałacach fabrykantów. Lynch zapowiadał wydanie wykonanych wówczas fotografii w albumie „Łódź: kobiety, fabryki”. Projekt jednak nigdy nie został zrealizowany. Narodziło się za to coś znacznie ważniejszego: absolutna fascynacja artysty Łodzią, opuszczonymi przestrzeniami industrialnymi i secesyjną architekturą, jakże odmienną od kalifornijskich krajobrazów oglądanych przez Lyncha z jego rezydencji w Hollywood Hills.

– Łódzkie fabryki, tak jak angielskie, kiedyś tętniły życiem, hukiem pracujących maszyn, nad którymi unosiło się gęste od potu powietrze. Były budowane jak katedry. Z wielką pieczołowitością i rozmachem. Dziś już takich miejsc nie ma. Zastępują je sterylne i bezduszne hale nowoczesnych zakładów – niemal dekadę później David Lynch wspominał w rozmowie z Krzysztofem Kwiatkowskim na łamach „Newsweek Polska”.

Kolejna sensacja nadeszła rok po pierwszej wizycie Lyncha na Camerimage. „Z Twin Peaks do Łodzi” grzmiał nagłówek tekstu Barbary Hollender w numerze „Rzeczpospolitej” z 31 października 2001 roku. Stanowił początek wieloletniego ciągu doniesień medialnych o wskrzeszeniu HollyŁodzi. Tam, gdzie jeszcze niedawno działał przemysł filmowy finansowany przez państwo (przede wszystkim Wytwórnia Filmów Fabularnych), dostrzegano możliwości angażowania zagranicznych twórców jako spadkobierców kinematograficznego dziedzictwa Łodzi. Filmowców popularnych, uzdolnionych, będących na fali, a przede wszystkim zaznajomionych z zasadami funkcjonowania międzynarodowego, kapitalistycznego rynku.

Budowa studia Davida Lyncha miała ruszyć już w 2002 roku, a oprócz reżysera „Dzikości serca” w projekt byli zaangażowani Peter Weir („Piknik pod Wiszącą Skałą”) i Roland Joffé („Misia”). Weir chciał tu szukać plenerów i statystów do nowego

Więcej, a jakby mniej

Rafał Gawin

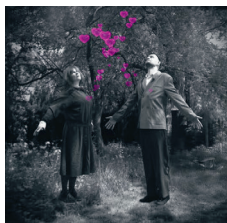
Zastanawiam się, czy to był niemrawy rok, czy może wypadłem z regionu i w muzycznych poszukiwaniach częściej eksplorowałem inne rejony.

A przecież zadebiutowali nostalgicznie electropunkowy coverband Różga oraz Mechu (sic!), rockman i – jak się okazało – multiinstrumentalista. Kisu Min na trzecim albumie osiągnęło stan optymalny. Wróciła Oreada. Regionalny hip-hop wrzucił piąty bieg, aż musiałem go zgłębić jak nigdy wcześniej. Pełny materiał pieśni wydali też Szumacher i Cieślak, natomiast Ich Troje zarejestrowało nie tylko koncert z Pol’and’Rocka, ale też premierową płytę.

Nie ironizuję. Okazuje się, że na takie zespoły jak Ich Troje czy Coma mnóstwo ludzi czeka, głosuje. Publicznie się nie cieszy, ale na monumentalnych festiwalach typu Pol’and’Rock czy Łódź Summer Festival szaleje przy ich muzyce. I kiedy autorzy hitów „Leszek” i „Zbyszek” raczej odpuszczają karierę inną niż kilka większych gigów rocznie, a honorowy obywatel Łodzi Piotr Rogucki z Katarzyną Nosowską uruchamia coverowy projekt koncertowy „Światło i MRock” (publiczność decyduje, w jakiej aranżacji zostanie zagrany dany kawałek), na placu boju namacalnie pozostaje popowo-biesiadny band Michała Wiśniewskiego.

Ich Troje wydało nowy materiał studyjny „Wybiła jedenasta” (Universal) oraz koncert „Pol’and’Rock” (Złoty Melon). Zaczynają od nowa z naprawdę obiecującą wokalistką Martyną Majchrzak (rocznik 2005), wchodząc w ten sam przeteatralizowany kicz: czy biorą na warsztat quasiwalc, czy pretensjonalną balladę fortepianową, czy rock środka z całkiem ostrą gitarą (singlowy „Nie pytam cię o miłość”). Ale, o zgrozo, z odpowiednim nastawieniem przy słuchaniu następuje zminimalizowanie poczucia

dyskomfortu. A na zwieńczenie pojawia się flirtująca z heavy metalem interpretacja wiersza Juliana Tuwima z pewną częścią ciała, i to w nieocenzurowanej wersji. Na wyciszenie i dla cierpliwych – hidden track w stylu bałkańsko-romskiej przyspiewki.



Niesamowite „Kopyta zła” wreszcie doczekały się następczyni: Joanna Szumacher i Paweł Cieślak nagrali „Libe” (Requiem), które w 2024 poprzedziła trzyutworowa EP-ka o tym samym tytule. Jest klimat jasnej mocy, porządnie i artystowsko zaaranżowany hyperpop z tekstami po polsku i w jidysz, zakorzeniony w folku i okraszony elektroniką – nic dziwnego,

gdy za konsolą siedział właściciel studia Hasselhoff (Cieślak). Osobisty wydźwięk zapewniają utwory z udziałem synów: w przypadku Szumacher chodzi o inspirację (piosenka „Libe”), w przypadku Cieślaka – bezpośredni udział i recytację (utwór „Troyerik 2...”). A całości patronuje miłość.

Różga brawurowo zadebiutowała materiałem „Punk Girls Changed into Electro” (Requiem). To duet Grega, czyli Grzegorza Fajngolda, znanego przede wszystkim z 19 Wiosen, a ostatnio Salvezzy czy Maszynowej, oraz Kate Różgi. Album poprzedził singiel „London Bouncers / Happy House” (Requiem). Pomysł na projekt jest prosty, zbieżny z tytułem krążka: przearanżować elektronicznie i synthpopowo utwory punkowe z lat 70. i 80. śpiewane przez kobiety z UK i USA. Pojawiają się m.in. intensywna, nieco depeszowska wersja „Free Money” Patti Smith czy niezobowiązująca, nieco kosmiczna wersja „Dreaming” The Expelled. Może drażnić polski akcent Różgi, absolutnej debutantki, ale biorąc pod uwagę bogaty muzycznie całokształt, niepowtarzalny wajb Procesora Plus (Fajngolda), da się na to przymknąć oko.



HetHet zadebiutował płytą „Mam to po ojcu i matce” (Widnokrąg). Początek to deklamacja, jakby Variété spotkało Republikę, by wskrzesić zimną falę. I ten drążący, bezgraniczny tekst: „Dzisiaj nie mam dna”. Ale to niezła zmyła: później jest różnorodnie i przede wszystkim balladowo, także w cieplejszych tonacjach. Sporo

tu mantr wprowadzających w pozytywny trans. Choć to przecież melancholijne piosenki o miłości i rozstaniu z ludzką twarzą, ale nie bez żalu. Na przykład taki spojler: „Kiedy mnie będzie stać na dom, będziesz już mieszkać z inną”. Płyta jest conceptualna. „To już się kończy” – konstatuje głębokim i refleksyjnym głosem wokalistka Ada Rusinkiewicz. Mam tylko jeden problem: tych